

Hic mortui vivunt, hic muti loquuntur. / Tu martwi żyją, a niemi przemawiają.

Od Redakcji

Spotkania: Rozmowa z Henrykiem Grynbergiem
Pożegnania: Zmarł Gustaw Holoubek
Recenzje i Omówienia: *Poyln; My Life within Jewish Life in Poland, Sketches and Images, Traktat o łuskaniu fasoli, Wieści ze Słuchanicy, Sklep Potrzeb Kulturalnych, Eleanor Roosevelt. Między namiętnością a polityką*
Kino Stare i Nowe: *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*
Z Biblioteki: Nowy Zarząd
Nabytki filmowe

Od Redakcji

Często się zastanawiam nad ogromem pracy, jakiej wymaga biuletyn. Przede wszystkim teksty pisane specjalnie dla nas, często na naszą prośbę. Mozolne godziny spędzone nad redakcją, składaniem, grafiką, drukowaniem. Niebagatelne koszty druku i poczty. Czy warto? Sama siebie uspokajam, że tak. To na naszych łamach spotkać można osoby o twarzach lub nazwiskach znanych z okazji towarzyskich, o których chcielibyśmy dowiedzieć się więcej. Co myślą, jak trafili do Waszyngtonu, jak widzą swoje miejsce w świecie? Pytania zadawane Henrykowi Grynbergowi przez Joannę Petry-Mroczkowską wykraczają daleko poza towarzyską zdawkowość, jego odpowiedzi dają zaś więcej do myślenia niż byłoby to możliwe w innych warunkach. Dziękujemy obojemu za to niezwykle ciekawe „spotkanie”.

W biuletynie informujemy także o książkach, które trzeba przeczytać, filmach, których nie można przeoczyć, wydarzeniach, o które warto zagadnąć przyjaciół. Wprawdzie recenzje i omówienia książek i filmów znaleźć można łatwo w Internecie, ale pisane są one anonimowo, poza kontekstem naszej społeczności. O ileż ciekawiej czytać Tischnera, spierając się w myśli z Basią Słobodą, która zechciała dla nas napisać o własnych wrażeniach z lektury. Czy zmagając się z *Traktatem o łuskaniu fasoli* będziemy mieli podobne obserwacje, co Krzyś Sęsiadek? A może dojrzymy w tej książce coś zupełnie innego? Czy nasze wspomnienia o Gustawie Holoubku są podobne do tych, którymi podzieliła się z nami Ola Zajackowski? A jeśli nie, to dlaczego? Różni nas gust, doświadczenia,

From the Editors

I often wonder about the enormous effort we expend on publishing *Library News*. First of all, there are the articles written for us, often in response to our specific requests. Then long hours spent on editing, layout and mailing. There are also financial costs of printing and postage. Is it worth it? I reassure myself that it is and I believe the editorial staff and readers share my views. It is on the pages of *Library News* that one can encounter various individuals whose faces or names are known to us from social occasions and who have sparked our interest. What are their thoughts, opinions, goals-- why did they come to Washington? Joanna Petry-Mroczkowska's interview with Henryk Grynberg goes beyond superficialities. Grynberg's answers inspire more reflection than would be possible otherwise. We want to thank them both for this very interesting "encounter."

The bulletin also enables us to inform you about books that are worth reading, films that you should not miss and events that are noteworthy. One can easily find reviews of books and films on the Internet but these are anonymous and not connected to our Polish community. How much more interesting it is to read Basia Słoboda's personal opinions on Tischner. Will we agree with Krzyś Sęsiadek's take on *Traktat o łuskaniu fasoli*? Or perhaps our impressions will be completely different from his? Are our memories of Gustaw Holoubek similar to those that Ola Zajackowski shares with us? If we don't agree with her then

pamięć historyczna, wrażliwość na sztukę słowa? Dlaczego w filmie Koterskiego „wszyscy jesteście Chrystusami”? Czy omawiający dla nas ten film Andrzej Raczek dostrzegł, jak głębokie rany zadają sobie nawzajem jego bohaterowie? Omawiamy też książki angielskojęzyczne, które warto polecić amerykańskiemu znajomemu, aby lepiej mogli zrozumieć naszą polską odmienną.

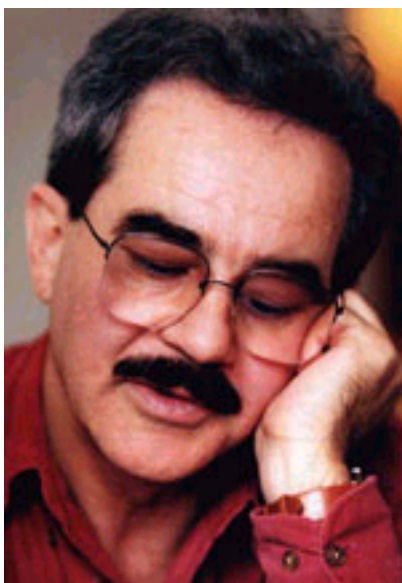
Piszemy też zawsze o Bibliotece. O organizowanych przez nas imprezach, o naszych finansach i pomysłach na przyszłość. Z czystym sumieniem zapraszam więc do lektury naszego kolejnego wydania. I do współpracy, abyśmy mogli publikować jeszcze lepiej i jeszcze ciekawiej.

why not? We have different tastes, experiences, different levels of historical knowledge, literary sensitivity? Did Andrzej Raczek in his review of Koterski's film *Wszyscy Jesteście Chrystusami* note the deep hurt which the protagonists inflict on each other? We also discuss English titles that are worth recommending to our American friends so they can better understand our Polish identity.

We also always write about the library: new acquisitions, cultural events organized by us, finances, future plans. So it is with a clear conscience that I invite you to read the current issue. We urge you to work with us so we can keep improving our publication.

Spotkania: Rozmowa z Henrykiem Grynbergiem

Henryk Grynberg (ur.1936), wybitny prozaik, poeta i eseista. W młodości także aktor. Laureat nagrody im. Tadeusza Borowskiego, Fundacji Kościelskich, Stanisława Vincenza, Fundacji Jurzykowskiego, Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej oraz Koret Jewish Book Award. Od 40 lat mieszka w Stanach Zjednoczonych.



Joanna Petry Mroczkowska

(JPM): „W Polsce nie ten jest Polakiem, kto się uważa za Polaka, tylko ten, kogo się uważa za Polaka. Żydem jest nie ten, kto się uważa za Żyda, tylko ten, kogo się uważa za Żyda”. To P a n a s ł o w a . Wspomina Pan również, że znaleźli się tacy, którzy mówili: „Niech się Grynberg zdecyduje, czy jest pisarzem

polskim czy żydowskim”. Wypowiedzi w podobnym stylu pojawiają się ciągle. Za kogo Pan sam się uważa?

Henryk Grynberg (HG): Uważam się za pisarza polskiego, żydowskiego, a nawet amerykańskiego. To są części składowe mojej świadomości i mojej kultury. Wiem więcej o Żydach niż inni polscy pisarze i więcej o Polakach niż inni żydowscy pisarze i więcej o jednych i drugich niż inni amerykańscy pisarze. Czuję się przez to bogatszy od pisarzy monoetnicznych i

monokulturowych.

JPM: Czy zgodzi się Pan z G. Simenonem, że „Pisanie nie jest zawodem, ale powołaniem wynikającym z nieszczęścia”.

HG: Absolutnie tak i widać to wyraźnie na niemal każdej stronie, jaką napisałem.

JPM: „Antysemici są wszędzie” – napisał Pan w którymś miejscu. A pewien wybitny polski artysta i obserwator życia podzielił się taką refleksją. „Żydzi mnie ciekawili. Niesłuchanie ceniłem poetów żydowskich. Ale nagle, kiedy przyszło to uświadomienie, że w każdej chwili mogę być posądzony o antysemityzm, zaczął się we mnie rodzić dziwny lęk. Lęk przed pochopnym oskarżeniem. Zobaczyłem, że Żydzi są niezwykle wyczuleni na tym punkcie. Gdy mowa o ich nacji, nagle tracą poczucie humoru”. Co by Pan odpowiedział?

HG: Odpowiedziałbym, że Żydzi mają wręcz zadziwiające poczucie humoru, biorąc pod uwagę wyjątkowy tragizm ich losu zbiorowego. „Obserwatorowi życia”, którego Pani przytoczyła, brak wyobraźni. Ciekaw jestem, czy byłoby mu do śmiechu, gdyby w 1942 roku albo 1968 w Polsce powiedziano mu, że jest Żydem. A było takich wypadków wiele.

JPM: W swojej twórczości niejednokrotnie wyraża Pan miłość do języka polskiego. I matki, która mówiła do Pana po polsku. Co jeszcze mogłoby uzupełnić ten wątek „serdeczny”?

HG: Polski jest jedynym językiem naprawdę moim, a

język to najważniejsze, co mam. Język to również kultura, bez której nie można być pisarzem, i najprawdziwsza ojczyzna. Może to zmartwi polskich narodowców, ale nawet jako „żydowski pisarz piszący po polsku” jestem bardziej Polakiem od większości z nich.

JPM: W *Uchodźcach*, książce o ucieczkach, powrotach, szukaniu swojego miejsca, powiedział Pan „Ameryka najpierw przybysza zachwyca, a potem szokuje, wzbudza opór”. W *Monologu polsko-żydowskim* zawarł Pan apoteozę Ameryki, kontrastując ją z Europą. „Uchodźstwo wszystkich wariuje, Polaków więcej, Żydów mniej”. Co jest przedmiotem Pańskiej nostalgii?

HG: W *Uchodźcach* dodałem, że po tym szoku kulturowym „trzeba wrócić do starego kraju, gdzie najpierw wszystko będzie się bardzo podobało, a potem już nic” i „wtedy z ulgą wraca się do Ameryki”. W nowej książce, którą właśnie skończyłem pisać - będzie chyba zatytułowana *Autoportret z pamięci* – na pytanie d z i e n n i k a r k i: ” C z y p a n j a k o Europejczyk...” odpowiadam: ”Ja nie jestem Europejczykiem, ja jestem Amerykaninem. Po czterdziestu latach się to czuje”. Przedmiotem moich nostalgii nie jest przestrzeń, lecz czas: dzieciństwo, młodość, ludzie, których już nie ma.

JPM: Co uważa Pan za swoje największe osiągnięcie?

HG: To, że przeżyłem już 71 lat w dość dobrej formie fizycznej i pisarskiej. I to, że udało mi się kiedyś uratować dwie tonące dziewczynki. Opisałem to zdarzenie w trzeciej osobie i w zawołany sposób w opowiadaniu *Ochotnik*, a teraz w nowej książce wyjaśniłem. Choćby odrzucono i zapomniano wszystkie moje książki, to dzięki tamtej przygodzie moje życie nie poszło na marne.

JPM: Wydaje się, że w środowisku waszyngtońskim odczuwa się niedosyt z racji Pana - nazwijmy to - „pozostawania na uboczu”. Czy ma to związek z tym, że – wedle Pana słów - nie chce Pan nigdzie należeć?

HG: Pisarz musi pozostawać na uboczu, bo pisanie wymaga odosobnienia i ciszy, a poza tym z boku lepiej widać. Rzeczywiście nie bardzo ufam organizacjom i kolektywom. Wyniosłem to z Polski Ludowej, gdzie w dzieciństwie i młodości molestowano mnie politycznie. Pod tym względem różnię się od większości Amerykanów, którzy raczej lubią się organizować. Ja ich rozumiem i nawet trochę tego zazdroścę. I cieszę się, że nie doświadczyli tego, co ja.

JPM: Bardzo proszę jeszcze na zakończenie o parę słów na temat ostatnich książek, których jeszcze nie mamy na bibliotecznej półce z Pana twórczością.

HG: Wydawnictwo *Świat Książki* wznowiło niedawno cztery moje pozycje w nowym opracowaniu redakcyjnym i eleganckich, twardych okładkach. Są to: *Kadisz* i *Dzieciństwo* wydane w jednym tomie pod tytułem *Kalifornijski kadisz* (2005) oraz *Szmuglerzy* i *Pamiętnik Marii Koper* w tomie pod wspólnym tytułem *Janek i Maria*. Poza tym wyszedł nowy zbiór mojej poezji *Dowód osobisty* w 2006 roku we wrocławskim wydawnictwie Biuro Literackie. Najnowsza książka *Autoportret z pamięci* to proza na pograniczu eseju, która jest w znacznej mierze dalszym ciągiem *Uchodźców* i niemal wszystkich innych moich opowieści. Ukaze się przypuszczalnie jeszcze w tym roku.

JPM: Serdecznie dziękuję. Pozwoli Pan, że przy okazji wyrażę nadzieję, że nad Potomakiem będzie jeszcze wiele okazji do spotkań z Panem i Pana książkami.

Pożegnania: Gustaw Holoubek (1923-2008)



pamięć wielu pokoleń

Chyba nie ma na świecie Polaka, który na wieść o śmierci Gustawa Holoubka nie westchnął z nostalgią. Bo oto odszedł człowiek-legenda: jeden z najwybitniejszych aktorów minionego wieku, reżyser, animator życia teatralnego, nauczyciel, autorytet w kręgach artystycznych, polityk i społecznik. Wrył się w niezapomnianymi kreacjami,

senatorialną posturą oraz mistrzostwem słowa. Miał tak głęboki i dostojny tembr głosu, że nawet gdyby recytował abecadło, w Jego ustach zabrzmiałoby jak upojna poezja. Sama Jego obecność na scenie już była wydarzeniem: orli nos, magnetyzujące spojrzenie, które aktor tłumaczył... wadą wzroku. Nawet, gdyby nie miał teatralnego kostiumu, umiałby oczarować widzów lekkim pochyleniem głowy, gestem, wykwinną dykcją choć... jak sam przyznawał miał wadę wymowy i seplenił.

Tadeusz Konwicki powiedział: *Fenomen Gustawa można tłumaczyć tylko poezją. To co nas czaruje, czego*

usiłujemy szukać w oczach, głosie, inteligencji, jest poezją, która na nas bardzo mocno działa, odrywa nas od powszedniości, budzi jakieś przeczucia, unosi na wyższe piętro. Był najwyższą wykładnią aktorstwa, choć sam powtarzał, że teatr nie jest wszystkim, tylko życie jest ważne. (...) Jest pasjonującą przygodą – kapryśną, ryzykowną i gorzką. Lecz nie warto porzucać dla niej prawdziwego życia.

Holoubek urodził się w 1923 roku w Krakowie i tam ukończył słynny Nowodworek, czyli Gimnazjum im. Bartłomieja Nowodworskiego. W 1939 brał udział w kampanii wrześniowej. Był wzięty do niewoli i kilka miesięcy spędził w obozach jenieckich w Niemczech i Toruniu. Po zwolnieniu ze stalagu w 1941 powrócił do Krakowa i natychmiast związał się z konspiracyjną sceną teatralną. Po wojnie ukończył Studium Dramatyczne przy Teatrze im. Juliusza Słowackiego (późniejsza Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna). A potem występował w każdym znaczącym teatrze: Śląskim im. St. Wyspiańskiego w Katowicach, Polskim, Dramatycznym i Narodowym w Warszawie. Od 1968 pełnił funkcję dyrektora Teatru Dramatycznego, a po 1989 pracował w Teatrze Ateneum, gdzie również sprawował funkcję dyrektora artystycznego. Był Prezesem Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu (SPATiF).

W świecie artystycznym był znany jako „aktor intelektualny” i stworzył wiele niezapomnianych ról. Miał w swoim repertuarze rolę Jana Kazimierza w

Mazepie Słowackiego, Hamleta, Stańczyka w *Weselu* w reżyserii Dejmka, Króla Leara, czy rozlicznych postaci z dramatów Mrożka, Becketta, Fredry, Gombrowicza. Ale chyba najgłośniejszą była kreacja Gustawa-Konrada w inscenizacji *Dziadów* w Teatrze Narodowym, w 1968 roku. Gdy cenzura zdjęła przedstawienie z plakatu a Dejmek został usunięty ze stanowiska dyrektora, Holoubek, w geście solidarności, również opuścił ten teatr.

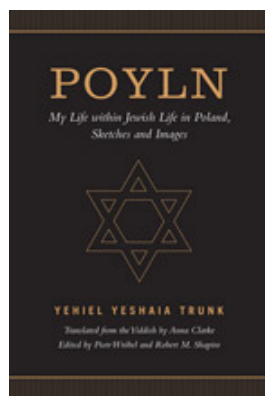
Swojego talentu nie ograniczył do desek scenicznych i często pojawiał się na dużym ekranie. Któż nie zna jego niezapomnianych wcieleni w *Sanatorium pod Klepsydrą* Hasa, *Marysi i Napoleonie*, *Pokoju z Widokiem na Morze*. Stworzył wreszcie niezapomnianego Profesora Tutkę w telewizyjnej serii opartej na dziełach Jerzego Szaniawskiego. Na koniec należy wspomnieć, że nie stronił od polityki i zasiadał w ławach poselskich Sejmu aż do wprowadzenia stanu wojennego, gdy to zrzekł się mandatu poselskiego. Służył też w Senacie Rzeczypospolitej Polskiej oraz w Radzie ds. Kultury przy Prezydencie RP, Lechu Wałęsie. Wielokrotnie honorowany rozlicznymi nagrodami, dwukrotnie odebrał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za działalność artystyczną i pedagogiczną.

Wraz z odejściem niezapomnianego Gucia, zamknął się pewien etap polskiego teatru. *Gustavus obiit*. Nam pozostała o Nim pamięć i legenda.

Aleksandra Zajackowski

Recenzje i Omówienia

Poyln; My Life within Jewish Life in Poland, Sketches and Images by Yehiel Yeshaia Trunk, translated from the Yiddish by Anna Clarke, edited by Piotr Wróbel and Robert M. Shapiro, University of Toronto Press, 2007, 167 pages.



Poyln (Poland) is a classic account of Jewish life in Poland during the nineteenth and early twentieth centuries. This is the first installment of a multi-volume edition and the first English translation to be published. The author, a prominent Polish Jewish writer, presents a portrait of the national community of Polish Jews in all its variety and vibrancy.

One begins on a gently humorous note that is one of the characteristics of Trunk's style:

My maternal grandfather, Borukh Gzhivatsh, came from coarse Polish village Jews.... We kept ourselves at a distance from Grandfather's simple village family. They were beneath us.

Trunk's saga focuses on the engagement and wedding of his parents. This is the framework for a cast of characters from several branches of his family tree that mirrors the extremes of Jewish society. *On the one side rabbis, Hasidim and itinerant preachers and, on the other side... Jews who lived together with the Polish peasants....* Trunk describes with keen insight the beliefs, customs, habits and personalities of family members: Hasidic patricians, landowners, entrepreneurs, merchants, Orthodox rabbis, artisans, shopkeepers, village and small-town Jews. The author is non-judgmental—his style is a mixture of humor, irony and occasional satire. Piotr Wróbel in the *Introduction* notes that one of the

Trunk was born in 1887 in the village of Osmolsk into a rich family of Jewish landowners on his mother's side and of scholars and rabbis on his father's side. *Chapter*

unique strengths of the book is its portrayal of Jewish women. My favorite is Grandmother Khaye who had *many features of a pious Jewish woman*. She lived in fear of her husband but loved him according to the commands of the Torah. She tried to assuage her feelings of inferiority by believing in superstitions, secretly giving money to *all sorts of shady religious types*.

Trunk describes in detail the life of Polish village Jews and their at times difficult relationship with Christians. One of the author's uncles had a tavern in Osmolin where on market days Jews traded with the peasants from surrounding villages. An idyllic picture is evoked with the peasants dressed in their vivid Łowicz colors like *the sun colors of Van Gogh*. Much drinking and carousing takes place outside the tavern with the uncle himself dancing with the village girls. But an event takes place in Osmolin that darkens this picture. The peasants kill a Jew in the synagogue. The scene is described without comment.

While writing about the elaborate preparations for his parents' wedding, Trunk does not forget the Jewish beggars of Poland. He devotes a chapter to them, discussing the town beggars and the *beggars wondering over the*

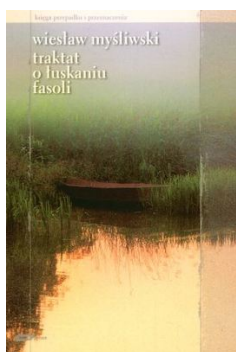
fields and villages of Jewish communities. I think this is one of the best chapters—Trunk's description is vivid and tactile as he writes about the beggars dancing after a meal provided by the author's grandparents: *They tramped on the grass with their torn and dusty boots and caught Grandfather Borukh by the arms and pulled him into the circle....*

Trunk started to write *Poyln* two days after he landed in New York in 1941. At that time he was already aware that the Jews of Poland were facing a catastrophe. The family epic/autobiography was his response to the Holocaust. The Editor's Preface quotes Rabbi Byron L. Sherwin:

Only when what existed in Poland before the Holocaust is understood can one truly discern the dimensions of the loss. From this perspective, it is important for Jews today to see Poland not only as a huge Jewish cemetery but also as a country where Jews created unprecedented works of the spirit, as a land where Judaism flourished freely....

Monika Mieroszevska

Wiesław Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*, Wydawnictwo **Znak**, Wrzesień 2007.



Traktat o łuskaniu fasoli Wiesława Myśliwskiego jest drugą po *Widnokregu* książką tego autora, która została nagrodzona prestiżową nagrodą *Nike*. Pisarz przez długi czas uważany był za przedstawiciela nurtu chłopskiego w literaturze polskiej, ale jego utwory znacznie przekraczają wąsko pojętą tematykę rzeczywistości wiejskiej.

Czytelnikom należy wyjaśnić, że tytuł utworu pochodzi od tradycji rodzinnej głównego bohatera powieści, zgodnie z którą członkowie jego rodziny uczestniczyli w zbiorowym łuskaniu fasoli. Prowadzili jednocześnie rozmowy, których zakres obejmował zarówno sprawy bieżące, jak i przemyślenia na temat sensu życia, a także sny i wizje.

Autor nadał powieści formę monologu, a właściwie dialogu bohatera z tajemniczym interlokutorem, z którego udokumentował tylko część wypowiedzianą przez głównego narratora. Nie jest wyjaśnione, kim jest jego rozmówca i czytelnik raczej odbiera wypowiedź bohatera jako dialog z samym sobą.

Treścią powieści jest bilans życia dokonywany przez starszego mężczyznę, pełniącego funkcję stróża przy zespole domów letniskowych w niezidentyfikowanej polskiej miejscowości. Życie bohatera w dużej części przypada na dramatyczne czasy w historii Polski: drugą wojnę światową, ustanowienie nowej władzy i powojenną odbudowę kraju. Ten ostatni okres dotyczy również losów pojedynczych ludzi, którzy z wojny wynieśli rany fizyczne, a przede wszystkim psychiczne. W opowieści bohatera pojawiają się także traumatyczne wątki dzieciństwa przypadającego na czasy okupacji.

Dowiadujemy się, że bohater jako dziecko przeżywa masakrę, której ofiarami padają wszyscy członkowie jego najbliższej rodziny. Jemu samemu, ukrytemu w dole z kartoflami, udaje się ocaleć. W rezultacie tego wydarzenia traci mowę. Zostaje przygarnięty przez partyzantów, ale pobyt wśród nich jest źródłem dalszych bolesnych doświadczeń zwłaszcza, gdy ginie otaczająca go opieką sanitariuszka. Przekazany przez partyzantów pod opiekę leśniczyny ucieka, by z końcem wojny zostać włóczęgą handlującym w pociągach owocami. Jeden z pasażerów przekazuje go do szkoły, którą tworzą podobni mu rozbitkowie wojenni. Zdobywa zawód elektryka, pracuje przy elektryfikacji wsi, a następnie na różnych budowach.

Ucząc się czy pracując bohater jest zawsze częścią większej zbiorowości, ale jednocześnie wykazuje

dystans w stosunku do niej. W jego bezpośrednim otoczeniu przewijają się ludzie o skomplikowanych życiorysach, często ukrywający przeszłość, co jest zrozumiałe w warunkach represyjnego reżymu, ustanowionego po wojnie.

Podczas pobytu w szkole, w dość przypadkowych okolicznościach, rozpoczyna naukę gry na saksofonie. Muzyczną edukację kontynuuje będąc już dorosłym człowiekiem i członkiem zakładowej orkiestry, a nauki udziela mu bezinteresownie magazynier, który dopiero po jakimś czasie ujawnia swoją karierę muzyczną sprzed wojny. Odkrywając w bohaterze utalentowanego ucznia, ofiarowuje mu swój instrument.

Saksofon nabiera dla bohatera niemal ludzkiego wymiaru. Wydaje się, że dzięki niemu odzyskuje mowę, a nawet nawiązuje kontakt z ludźmi, którzy podobnie jak on z wojny wynieśli ciężkie doświadczenia. Być może wyrażone jest tu przekonanie autora o ogromnej roli, jaką sztuka może odegrać w kształtowaniu człowieka.

Dokonując bilansu swojego życia bohater wspomina różne wydarzenia, poświęcając im jednak nieproporcjonalne ilości miejsca. Jedne, pozornie drugorzędne, opisuje z fotograficzną drobiazgowością, podczas gdy inne, wydawałoby się znacznie ważniejsze, ledwie wspomina. Dowiadujemy się, że znaczną część życia spędził poza granicami kraju, ale szczegółów dotyczących tego okresu nie ujawnia. Wiadomo tylko, że w niezidentyfikowanym kraju grał na saksofonie w nocnych lokalach.

Pomiędzy wierszami odczytujemy informacje o jego nieudanym małżeństwie, do którego rozpadu przyczyniły się bolesne doświadczenia wojenne obojga małżonków. Po latach, dotknięty chorobą reumatyczną uniemożliwiającą grę na instrumencie, bohater wraca do kraju by podjąć się pilnowania domów letniskowych w okolicy, w której przeżył dzieciństwo. Z powodu fragmentarycznej narracji, całe obszary jego życia pozostają dla czytelnika tajemnicą, zwłaszcza, że opisy poszczególnych okresów nie są utrzymane w porządku chronologicznym.

Okazjonalnie, odsłaniając wielopiętrową budowę tekstu, autor przekazuje prowadzenie narracji innej postaci, będącej przedmiotem opowiadania głównego bohatera. Ma to na przykład miejsce w czasie zakupu kapelusza, kiedy głównym narratorem staje się sprzedawca. Sam zakup jest zarówno dla kupującego, jak i sprzedającego skomplikowanym psychologicznie aktem, daleko wykraczającym poza ramy transakcji handlowej, a kapelusz nabiera znaczenia symbolicznego.

W podobny sposób rolę tymczasowego narratora

wyznacza autor gospodyni, u której zamieszkuje młody bohater powieści, czy nieznanemu z kawiarni. Można dostrzec tu pewną analogię z malarstwem amerykańskiego artysty Edwarda Hoppera, który przedstawiając widok wybranego wnętrza, poprzez narożne okno ukazuje przestrzeń położoną poza nim.

Język, jakiego używa bohater, jest mową potoczną człowieka o ograniczonym wykształceniu. Być może autor wkładając w jego usta przemyślenia dotyczące egzystencji ludzkiej, wyraża przekonanie o mądrości płynącej od ludzi prostych. Może także podkreśla znaczenie mowy w tworzeniu języka literackiego. Wśród wielu sentencji wypowiedzianych przez bohatera, czytelnik znajdzie definicję porządku: *Porządek to nie tylko to, czego się zakazuje, a na co się zezwala... Porządek zamienia nasze życie w los.*

Innym przemyśleniem jest próba określenia obszaru wolności: *Wolność, już w samym słowie, można powiedzieć, kryje się jej zaprzeczenie... Bo jeśli rozumieć to jako wolność od wszystkich przymusów, to również od siebie.* Autor równie zaskakująco definiuje miłość, która według niego jest *niedosytem istnienia.*

Duże znaczenie przypisuje autor językowi, twierdząc, że *...w jednym zdaniu może się dużo zmieścić...Może się całe życie zmieścić...Zdanie jest wymiarem świata... tyle słów musimy przez życie powiedzieć, aby się mogło z nich wytopić to jedno zdanie. Jakie? Każdemu jego własne. Które mógłby człowiek w przyływie rozpacz powiedzieć i nie skłamałby... Przynajmniej wobec siebie.*

Inne interesujące rozważania dotyczą znaczenia słów: *Są przecież takie słowa, które nie mają swoich stałych znaczeń. Słowa wymienne na wszystkie nasze pragnienia, marzenia, tęsknoty, myśli. Można by powiedzieć, słowa bezcielesne, zabłąkane we wszechświecie innych słów, słowa, które szukają swoich znaczeń czy, lepiej byłoby powiedzieć, swoich wyobrażeń...*

Czytelnik może odebrać powieść jako wyraz nostalgii za przemijającym światem a także własnymi doświadczeniami, nawet jeżeli wiele z nich ma dramatyczny charakter. Autor wyraża pogląd, że *Przeszłość to tylko nasza wyobraźnia, a wyobraźnia potrzebuje tęsknoty, wręcz karmi się tęsknotą... Tworzy ją (przeszłość) nasza wyobraźnia, ona ustawia naszą pamięć, nadaje jej znamiona, dyktuje jej wybory, nie odwrotnie. Wyobraźnia jest ziemią naszego istnienia. Pamięć jest tylko funkcją wyobraźni.*

Powieści brakuje wyraźnie zarysowanego początku i końca, a czytelnik może odnieść wrażenie, że jej długość jest dziełem przypadku i mogłaby zarówno ulec skróceniu, jak i wydłużeniu. Obok głównego nurtu

pojawiają się watki poboczne i każdy z nich mógłby ulec rozbudowie tworząc niezależny tekst. Jest to wyrazem przekonania autora, który słowami bohatera twierdzi: *Nie szukam żadnego początku. Zresztą czy coś takiego jak początek w ogóle istnieje? Nawet to, że człowiek urodził się, nie znaczy, że to jego początek. Gdyby cokolwiek miało początek, szłoby już dalej po kolei. Dzień za dniem nie chcą po kolei, tylko ten się przed ten wpycha.*

Wydaje się, że największą wartością książki jest nadanie żywej mowie specjalnego znaczenia, pozwalającego wyrazić trudne myśli i uczucia, a także określić etyczny

Wanda Czubernatowa i Ks. Józef Tischner, **Wieści ze Słuchanicy**, Wydawnictwo **Znak**, Kraków, 2001.



Była połowa lat 80-tych. Studiowałam wówczas na Uniwersytecie Jagiellońskim. Uwielbiałam moje studia, rytm studenckiego życia, w którym, pomimo wyętej pracy, zawsze znajdowaliśmy czas na wieczorne wyjście do teatru, na koncert, czy spotkania u Ojców Dominikanów (w *Beczce*). Jednak to, na co czekałam najbardziej z tygodnia na tydzień, to otwarte wykłady ks.

Józefa Tischnera w zawsze z tej okazji przepełnionej auli Collegium Novum. Mimo ścisłu słuchaliśmy uważnie i w skupieniu, ale pełne serdecznego poczucia humoru słowa księdza-profesora sprawiały, że sala raz za razem wybuchała szczerym śmiechem, przerywając na moment wypowiedź księdza. Odnosiło się jednak wrażenie, że ta żywa reakcja młodzieży jest integralną, wręcz niezbędną częścią wykładu... A ks. Tischner mówił o sprawach trudnych i głębokich. Mówił w sposób prosty i zmuszający do refleksji i kwestionowania tego, w co wierzyliśmy (lub się nam wydawało, że wierzymy), co robiliśmy i dlaczego, i o co naprawdę w tym świecie chodzi. A rzeczywistość wokół nas była trudna, trochę nijaka, trochę przynębiająca, a jednak, wbrew wszystkiemu, przepeliąca nadzieją. Przeczuwaliśmy koniec jakiejś epoki, ale nic konkretnego jeszcze na zmiany nie wskazywało. Mieliśmy jedynie wyobrażenie wolności, która była dla nas trudna i odległa, ale paradoksalnie bliższa i może nawet bardziej zrozumiała niż obecnie. Była wartością, która nie musiała konkurować z rzeczywistością. Może dlatego, że niewiele we współczesnym nam wówczas świecie było na tyle atrakcyjne, żeby konkurować z tym, o czym mówił nam ks. Tischner. A mówił o Nadziei, o Wolności, o Miłości...

wymiar bytu. Rozważania nad rolą przeznaczenia i przypadku w życiu, czy ogólnie o sensie życia nabierają w powieści nowej interpretacji: *Na tym polega nasz ludzki los, że zawsze po niewczasie. Zawsze już po wszystkim. Bo też świadomość jest naszym losem, nie życie. Czy życie nasze było warte życia, czy niekoniecznie, rozstrzyga dopiero los. Życie jest tym, co toczy się bez związku, bez celu, dzień za dniem, najczęściej z woli przypadku, jako że skoro jesteśmy, musimy być. Los natomiast ustanowił człowiek jako rodzaj uznania dla życia.*

Krzysztof Sasiadek

Kiedy dwadzieścia lat później i po tej stronie oceanu sięgnęłam po już pośmiertną biografię Tischnera (*Tischner*, Wojciech Bonowicz, Znak, Kraków 2001), odżyło we mnie tamto przeżycie nadziei. Poczulałam jak ten świat, tu i teraz, jest... zbyt łatwy. Jak łatwość i względność wszystkiego wokół nas rozmywa przeżycie wolności i nadziei. Jakich innych tu się dokonuje wyborów, może tylko dlatego, że można ich dokonać...

Wieści ze Słuchanicy to kolejne dla mnie wielkie tischnerowskie przeżycie: od refleksji nad wiarą we współczesnym świecie, po spojrzenie w głąb siebie. *Kto chce zrozumieć naturę wiary religijnej, niech będzie przygotowany na spotkanie z prostotą. Trudność rozumienia nie polega bowiem na tym, że wiara jest złożona, a my prości, ale na tym, że my powikłani a wiara prosta. (Wiara szuka zrozumienia, Tischner, Znak, 2006).*

Wieści ze Słuchanicy to fragmenty felietonów, które ukazywały się w połowie 1997 na łamach miesięcznika **Znak**. Miały one formę listów, pisanych w gwarze podhalańskiej przez poetkę Wandę Czubernatową i ks. Józefa Tischnera. Słuchanica to po góralsku konfesjonał, *Wieści* są więc zbiorem refleksji poetki i księdza-filozofa na tematy, które zwykle są treścią prywatnych spowiedzi. Nie jest to jednak tradycyjna lista grzechów, jaką wielu z nas pamięta z przygotowania do pierwszej spowiedzi, a raczej seria pytań – filozoficzno-religijnych – u podstawy których leży trochę poczucia winy, a i odrobina przekornej myśli, że może jednak człowiek *lepiej wie niż sam Syroki*. Pytania-refleksje poetki to małe prowokacje dla księdza-filozofa. Przystawmy więc ucho do słuchanicy...

W rozdziale *O dobrobycie* Babka Krzysia snuje refleksje z pobytu w *Amaryce*, gdzie *bez całej miesioc, [...] zgrzysła myślom i mowom*. Opisawszy Księdzu-Jegomości, jaki tam dobrobyt zobaczyła, spowiada się ze swoich myśli, że to *cudzy dobrobyt dziubie w ocy, w brzuk i w kiski*. I przedstawiwszy w szczegółach ileż tam

(tu!) dobra i jadła i wszystkiego (*A jo mom ino jedyn brzuk!*) sumuje: *I jesce dwa ostatnie zdanecka: ci ludzi z tego dobrobytu som jest smutni! Co sie snami pośmioli, to sie pośmioli i zaroz na ik oblice wychodzi chmurecka-zaduma, myśli jakiesi, nieobecność, moze marzom o jesce wiecej? Moze sie bojom stracić to, co uskładali? Rano do roboty, wieczór telewizor, w sobote na narty, abo na basen, i zaś jeść i pić, i robić, robić, i zbijać na kupe, i kiesie juz mo trzy chałpy, baseny, samolot, baby wselniejakie, gorzolki i winecka, a ino jeden brzuk i jedno serce – cy nie robi sie smutno? Wielebny Jegomość Józek odpowiada, że właśnie z rozkoszy się głupieje, a nie z biudy.[...] Dopiero trza sie wyzwolić, coby zmądrzeć. Dlatego też, za pokutę, daje Babce Krzysi dziesiątek różańca klecoco, ale bez podkładania pierzyny pod kolana.*

I takie to rozważania toczą oni o biedzie, wolności, boleści, duszy i ciele, a nawet i o pornografii.

Rozważania o duszy zaczynają się bardzo prostym, wręcz dziecięcym pytaniem Babki Krzysi *Kany ta dusa? W cleku? Któredy włazi, a któredy wylazi?* A ksiądz Józek odpowiada, przytaczając barwne i jakże trafne ilustracje o tym, czym jest dusza i jak ją pielęgnować. Obrazki, jakie maluje są pozornie tak mało “duchowe”, lecz czy nie tym bardziej wydatnie ilustrują, czym jest nasza dusza? Posłuchajmy: *Dusy trza pokarmu. Napisane jest: “Nie samym chlebem clek zyje”. Jak źle duse kormis, to z dusy robi sie sietniok. I widzis: cielsko urośnióne, zapocnione, ciepłe jak piec przed weselým, a o duszy ani słychu, ani dychu. Abo inksy przykład. Siedzi taki chłopiec z dusóm w kościele. Kleko, kie inksi klekajóm. Zegno sie, jakby sie od gowiedzi oganiol. Nie powim, odpowiy ci: “I z duchym Twoim”. Nawet zaśpiewo: “Pobłogosław, Jezu drogi...”, bo mu sie akurat droga na Marusyne marzy. Ale Ty cujes, ze choć ciało jest w kościele, to dusa ka indziej suko pokarmu. Dopiero, kie sie wyjdzie z kościoła, kie stanie na wierhu, kie huknie: “Na wierh Marusyny karcma murowano. Ej, jest han kacmarecka jesce nie tykano”. No widzis, cym sie dusa kormi?*

Babka Krzysia i Jegomość Józek operują prostymi obrazami. Rozdział o ciele (**Cialecko, ciało, cielsko moje ukochane!**) zaczyna się od zdania-kwintesencji życia rodzinnego: *Rodzi sie dziecko, matka sie dre, ociec pije, babka sie modli.* W kilku soczystych słowach szkicuje moment narodzin, w którym ból, radość i modlitwa wyznaczają podstawowe pytania o wzajemne relacje ciała i duszy człowieka. I znów ks. Józek ujmuje to w słowa, które przyprawiają czytelnika o dobrotliwy uśmiech: *W cym sprawa? Ano w tym, cy ciało to jest Jo, cy nie Jo?* A możliwe odpowiedzi-spekulacje na to głęboko filozoficzne pytanie to seria swojskich obrazków, których prostota jest świadectwem ich

wiarygodności: *Zdawać by sie mogło, że ciało to jest Jo. No bo, jak idym, to godom: “Ja idym”. A nie godom: “Moje ciało idzie”. Abo jak chłopca wykopiam z karcmy, godo sie: “Franka wykopali”. A nie godo sie: “Frankowe cielsko wykopali.*

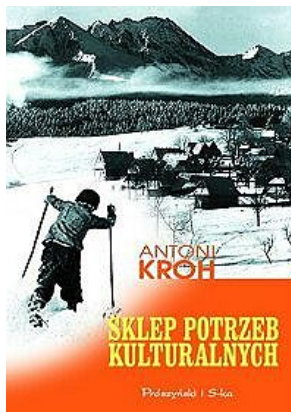
Więści ze Słuchanicy uderzają zwięzłością, dosadnością sformułowań i obrazów, urokiem, zadziornością, tak typową dla ks. Tischnera. Prowokują do myślenia, żebyśmy za dużo o sobie nie mniemali, a zarazem promieniują dobroduszością, żebyśmy się nie zatracali w strachu, czy poczuciu winy, czy niepotrzebnym, a tak swojsko-polskim, cierpiętnictwie. Tischner wierzył w zbawczą moc cierpienia. Swoją postawą wobec zjadającego jego głos raka krtani dał tego najlepsze świadectwo, kiedy do końca (nie mając już głosu, nie mogąc jeść) pracował, był z ludźmi, których kochał, był dla nich i do końca dawał świadectwo nadziei. Jednak cierpiętnictwo nazywał *kokietowaniem Pana Boga*. Mówił: *Niewątpliwie religia nadaje sens cierpieniu. Ale nie cierpiętnictwu.* Tischner jest autentyczny w opisie człowieka i analizie wszystkiego, co ludzkie. Tischner nie mówi “jak ksiądz”. Ujmująca jest rada Jegomościa Józka na temat grzechu zawiści. *Zowiść? Tu Ci mom. Pises, ze zowiść? Telo Ci ino powiyom: głupi to grzych. No bo z kozdego inksego grzychu radość jakosi płynie dla cłeka, a z tego ino samo stropiynie. To kie juz moc grzysyść, to przy okazji sukaj jakiej takiej uciechy z grzychu, a wtedy nawet janieli w niebie to wyrozumióm, bo one tyz przecie na uciche łase.*

Niedługo przed wysłuchaniem **Więści** (musiałam czytać głośno te dialogi, żeby zrozumieć gwarę góralską...), dostałam płytę kompaktową **Tischner** (Biblioteka Gazety Wyborczej, Warszawa, 2007), dedykowaną *Bogu, Człowiekowi, Światu*. Jest to (rewelacyjny) zbiór piosenek z tekstami Romana Kołakowskiego (były dyrektor artystyczny Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu) i muzyką zespołu **Voo-Voo** i rodzinnej kapeli góralskiej **Treburnie Tutki**. W małej książeczce opisującej tę płytę Roman Kołakowski pisze: *Napisać o Tischnerze to jest zadanie prawie niewykonalne... Ale można zawsze czytać Tischnera... Po raz kolejny czytać... I próbować się uwieść jego frazom, jego skrzydlatym słowom...* Pozwolę sobie “zawiesić” tę moją nieudaczną recenzję **Więści** na powyższym stwierdzeniu.

Barbara Słoboda

Antoni Kroh, *Sklep Potrzeb Kulturalnych*, Prószyński, 1999.

Jeszcze nie tak dawno zapytana, którą grupę etniczną uważam za najbardziej reprezentatywną dla naszego kraju, wskazałabym najpierw na Krakowiaków, zaś zaraz po nich dodałabym górali. I tu popełniłabym poważną pomyłkę, zapoczątkowaną ponad sto lat temu, a następnie podsycaną aż do dziś przez historię i ustroje. Dopiero lektura książki Antoniego Kroha *Sklep potrzeb kulturalnych* uświadomiła mi jak bardzo wypaczona jest nasza zbiorowa świadomość narodowa.



Mit góralszczyzny powstał na kanwie wywodów, że ludność Podhala, odizolowana terytorialnie od reszty typowo nizinnej kraju, zdołała zachować prakulturę słowiańską i przez wieki egzystowała nieskażona przez obce naleciałości. Tymczasem Kroh, który spędził dzieciństwo na Podhalu, a po latach powrócił tam jako badacz-etnograf, precyzyjnie, ale i z gawędziarską swadą, demitologizuje zaprogramowane w nas nieścisłości, czy wręcz historyczny fałsz. Podhale co prawda należało do Rzeczypospolitej, ale kulturowo zawsze ciążyło do Południa. Sami mieszkańcy tego regionu nie mieli zdecydowanej świadomości swojej narodowej przynależności, zaś południowa granica kraju ustanowiona w 1924 przez Ligę Narodów służyła raczej kartografom. Dla górala geografia określona była miedzą, stojącą na niej kapliczką, świątynią protestancką, czy cerkwią. Zapytani, kim się czują, najpewniej odpowiedzieliby w swoim indywidualnym dialekcie: jestem tutejszy góral. Do początku XX wieku mogliby też powiedzieć – jestem carski. I taka odpowiedź nastąpiłaby zarówno po galicyjskiej, jak i po węgierskiej stronie. Bowiem ich przynależność bardziej określał język i wiara, niż mapa. Bo tak naprawdę należeli raczej do jednej wielkiej kultury karpackiej, z całą mnogością jej ludów. I choć historia przesuwiała granice, to ludność etnicznie od nich niezależna czuła się Polakami, Morawianami, Słowakami, Rusinami, Węgrami, czy Niemcami.

Fascynacja góralszczyzną zaczęła się z końcem XIX w., choć już w wieku XVIII manifestują się pierwsze baranie zachwyty nad Tatrami, na przykład gdy księżna Czartoryska spacerowała prowadząc na jedwabnej szarfie perfumowaną owieczkę. Odzwierciedlało to ogólnoeuropejski zachwyty idyllą i pastorellą. Natomiast pełny rozkwit mody na góralszczyznę nastąpił około

roku 1900 a podsycił go Stanisław Witkiewicz. Prototyp górala-Słowianina potrzebny mu był jako symbol narodowej niepodległości. Góral jawił mu się wolny jak ptak, reprezentował szlachetność, fizyczne piękno (Witkiewiczowska wyższość rasy góralskiej, cechowanej np. „orlim nosem”). Model ten został podchwycony 50 lat później. Chłop górski pasował na narodowego reprezentanta, bo był historycznie „bezpieczny”. W przeciwieństwie do innych polskich grup etnicznych, nigdy nie sprawiał trudności. Nie ciążyła na nim pańszczyzna jako że podlegał bezpośrednio królowi lub cesarzowi i dlatego nie stawiał żądań społecznych, czy politycznych. Był więc nieproblematyczny. I wkrótce urósł do rangi „chłopa rekreacyjnego”, pokazowego. Góralowi zaś to wcale nie przeszkadzało. Tradycyjnie cierpiąc niedostatek, łatwo wcielił się w tę nową, odgórnie podyktowaną rolę. Poczł koniunkturę na własne przetwórstwo „ludowe” i zaczął produkować wszystko to, co przynosiło zysk. I tak nikogo nie przejmowało, że na Podhalu do XIX wieku nie malowano na szkle. Moda ta nadeszła z Południa, ze słowackich jarmarków, szybko zdobywając kulturowy rynek. Zaczęto też produkować parzenice, skórzane kierzce, nie zważając, że biedny góral nigdy ich nie nosił, bo po prostu nie było go na nie stać. Ale one świetnie się sprzedawały w kioskach „Ruch”. Dawniej góral, w swojej nędznej codzienności, kierował się wymiarem „pożyteczności” a nie „piękna”. Sztuką dla niego był haft, snycerka, kowalstwo, garncarstwo, tkactwo. Ale dla rozmiłowanego folklorem miastowego – to był obrazek na szkle, dzikie turnie owiane wiatrem, chrzęst wstążek u gorsetu. I przeważał popyt. Powstała nowa kultura podyktowana rynkiem zbytu. Pod dyktando nowej koniunktury, góral zaczął produkować wypalany talerz, na którym nikt nie podawał posiłku. A Frasobliwe Jezuski uszczęśliwiały ateistów. W XIX „nowopowstała” sztuka góralska miała zintegrować naród, przynieść wolność i tożsamość narodową. W latach PRL, łechtała próżność przywódców, dając im poczucie, że sztukę mogą zaprogramować, a potem z jej pomocą sterować całym społeczeństwem. Bo była to sztuka lojalna. W rezultacie to, co dziś znamy jako góralszczyznę, jest faktycznie mezaliansem młodopolszczyzny z socjalizmem. Dzisiejszy flisak pieniński do czuchy nosi jeansy, bo wełniane portki, naciągnięte na niego przez miastowego pana sto lat wcześniej, odparzają mu skórę. Kierzce powodują odciski, ale gdyby chciał powrócić do przed-witkiewiczowskiego łykowego obuwia, okrzyknięto by go zdrajcą własnej „tradycji”. I tak nadal uznajemy tę tradycję jako wiodącą wartość narodowego folkloru, niebacznymi na fakt, że to jest kultura neoludowa, zaprojektowana przez panów z nizin na ich własny użytek.

Książka Kroha stanowi bardzo interesującą lekturę.

Momentami jest utrzymana w stylu góralskich opowiadań, przeplatana naukowymi odkryciami i historycznym dowodem. Jest apoteozą „góralskiego rozumu”, logiki, rozumienia świata i przekładania go na taki sposób, by pasował do lokalnych horyzontów. Autor balansuje pomiędzy językiem badacza a gwara, czyniąc niezapomniane anegdoty jeszcze bardziej uroczyymi. Raz

raczy nas niepowtarzalnym humorem, to znów popada w nutkę nostalgii za tym co przeszło i czego żadna siła nie da rady zrekonstruować – oczywiście poza pamięcią ludzką i góralskimi bajaniami.

Aleksandra Zajackowski

Beata de Robien, *Eleanor Roosevelt. Między namietnością a polityką*, Świat Książki, Grudzień 2004.



Tłumaczona z francuskiego książka pochodzącej z Krakowa Beaty de Robien jest niezwykle interesująca faktograficznie, chociaż miejscami przysłania to nie najlepszy język tłumaczenia i nieco plotkarska stylistyka. Dla polskiego czytelnika najciekawsze w tej pełnej skandali sadze rodziny Rooseveltów są cytaty z mało znanych materiałów źródłowych, które rzucają nowe światło na przyczyny

niezwykłej spolegliwości Roosevelta wobec Stalina w okresie drugiej wojny światowej i w trakcie negocjowania przyszytych granic i ustroju Polski.

Beata de Robien kreśli całkiem inny obraz Eleanor Roosevelt niż ukształtowany przez amerykańską historiografię stereotyp. Szczególnie interesujące są związki Eleonor z ludźmi, którzy mieli wpływ na politykę i decyzje jej męża, Franklina Delano Roosevelta, oraz mogli stanowić źródło informacji dla Stalina.

Małżeństwo Rooseveltów przetrwało czterdzieści lat, choć nie wolne było od zdrad i dramatów. Eleanor nigdy nie wybaczyła mężowi romansu z sekretarką w pierwszych latach małżeństwa i do końca życia popadała w tarapaty lokując pochopnie swoje uczucia w osobach wykorzystujących jej wpływy lub – o czym świadczą notatki w archiwach NKWD - podsuwanych przez rosyjski wywiad. Eleanor i Franklin od wczesnych lat małżeństwa żyli obok siebie: on zajęty polityką i dyskretnymi romansami, ona zaangażowana w działalność społeczną i obdarzająca intensywnym uczuciem (oraz wsparciem finansowym) a to interesujące kobiety, a to młodych, atrakcyjnych mężczyzn. NKWD opisze ją jako „osobę podatną na wpływy i łatwo dającą się pokierować komuś, jeśli umie się ją podejść”.

W 1939 młody komunista, pochodzący z ubogiej

rosyjskiej rodziny Joseph Lash, oczaruje ją śpiewając *Międzynarodówkę* w sądzie, gdzie trafił oskarżony o działalność w komunistycznej organizacji młodzieżowej. Jeszcze tego samego dnia prezydentowa, zaangażowana wówczas w śledzenie przypadków łamania praw młodzieży przez sądy, zaprosi go na obiad do Białego Domu. W ten sposób 30-letni wieczny student zostanie długoletnim przyjacielem 55-letniej wówczas prezydentowej i zyska dostęp do dokumentów Białego Domu, gdy Eleanor zaproponuje mu pisanie książki o prezydencie. Lash otrzyma też szczegółowe informacje na temat planowanych poczynań prezydenta, dzięki rozlicznym listom miłosnym przesłanym mu przez prezydentową.

W 1941 rozmowy ze Stalinem w imieniu Roosevelta prowadził Harry Hopkins, który dzięki zbiorce funduszy na cele społeczne zyskał przyjaźń prezydentowej i za jej rekomendacją wprowadził się do Białego Domu (pozostawiając bez środków do życia żonę i dzieci). Stalin przyznał, że Hopkins był pierwszym Amerykaninem, który „potrafił z nim rozmawiać od serca”. Na prośbę prezydentowej Hopkins zatrudnił Lasha do pomocy przy kampanii wyborczej uwieńczonej kolejnym zwycięstwem Roosevelta. Hopkins, dzięki rekomendacji Eleanor, został mianowany przez prezydenta szefem Federalnej Administracji do Spraw Pomocy Nadzwyczajnej. Z raportu złożonego Kremlowi przez agenta NKWD w Waszyngtonie wynika, że Hopkins „szczerze podziwiał i wielbił Stalina, bez obaw myśląc o Europie zdominowanej przez Związek Radziecki po pokonaniu nazistów”.

Hopkins, najbardziej wpływowy człowiek Białego Domu za czasów Roosevelta, jak wiemy z innych źródeł, miał na swoim koncie wiele interesujących decyzji: między innymi przekonał Roosevelta do włączenia do programu pomocy Związkowi Radzieckiemu darowizny uranu, a w czasie podróży do Moskwy w 1945 wycofał się w imieniu USA z nalegania na wolne wybory w Polsce. Beata de Robien opisuje, jak Roosevelt niejednokrotnie zaskakiwał Rosjan swoją naiwnością. Na przykład w 1944, gdy otrzymał od fińskiego wywiadu księgę szyfrów NKWD z pseudonimami wszystkich rosyjskich agentów, przekazał ją z notą przeprosin ambasadorowi Związku Radzieckiego. Roosevelt skwitował swój

stosunek do przywódcy ZSRR słowami: „Lubię Stalina... Myślę, że Stalin woli mnie od Winstona. Problem z Churchillem polega na tym, że za dużo myśli o tym, co będzie po wojnie... Zdaję się na intuicję, Stalin to porządny facet. Myślę, że jeśli dam mu wszystko, co mogę mu dać i nie poproszę o nic w zamian – noblesse oblige – nie będzie próbował zaanektować żadnych

terytoriów. Będzie pracował ze mną nad nowym światem demokracji i pokoju”. Na taką wizję przywódcy ZSRR mieli zapewne wpływ wprowadzeni do Białego Domu przyjaciele Eleanor Roosevelt.

Beata Płonka

Kino Stare i Nowe: *Wszyscy jesteśmy Chrystusami*^{1/}



O alkoholikach nakręcono tak wiele filmów, że każdy następny musi powtarzać znany już schemat: skrzywdzona rodzina, zniszczona kariera zawodowa i stopniowe staczanie się na dno egzystencji, gdzie dla człowieka wszystko przestaje mieć znaczenie poza smakiem wódki wlewanej do gardła. Jednak film *Wszyscy jesteśmy Chrystusami* warto

obejrzeć, dlatego że znany schemat prezentuje w nowy, oryginalny sposób. Życie rodziny alkoholika przyrównane jest do drogi krzyżowej. Wykorzystanie wątku biblijnego, mimo że przypomina momentami *Mistrza i Małgorzatę*, ma swoistą świeżość. Na przykład, fantastycznie wykorzystany jest pomysł z aniołem stróżem, który pod różnymi postaciami ratuje bohatera w chwilach opresji. Między innymi jako pracownik służb miejskich, który zabiera pijanego bohatera z torowiska tramwajowego i strofuje go potem przy pomocy najbardziej wulgarnych słów znanych w języku polskim. Anioł, chociaż różną postać przybiera, zawsze pozostanie aniołem.

Kolejne etapy alkoholowego dramatu są jak stacje drogi krzyżowej. Początkowa stacja to usidlenie przez nałóg. Dlaczego ludzie zaczynają pić: dla fasonu, z nudy, po to by być dobrym kumplem lubianym w towarzystwie? Filmowy bohater traktuje alkohol jako lekarstwo na stres. Strach, koszmary z dzieciństwa są powodem poszukiwania środka dającego ukojenie. Jest nim dla ojca alkohol (dla syna bohatera filmu staną się nim narkotyki). Nałóg jest przyjemną ucieczką od rzeczywistości, jego pielęgnowanie umożliwia bar gromadzący stałych bywalców, dla których picie wódki stało się esencją życia. Tutaj każdy z pijaczków może opowiadać o swoich sukcesach zawodowych, udanym życiu rodzinnym, podziwiać polskiego papieża, mimo, że ich życie nijak się ma do nauk Kościoła. Bar jest jak przystań, do której wraca się nawet po latach abstynencji.

Stacja druga – małżeństwo. Po to by zostać żoną alkoholika, trzeba mieć nie tylko odwagę, ale również trzeba bardzo kochać. Miłość jednak powoli wyparowuje w tempie wypijanego alkoholu i jedynym rozwiązaniem staje się rozwód. Ukochany mąż staje się głównym wrogiem. Stacja trzecia – ojcostwo. Być ojcem, nawet niechcianego dziecka, to jednak męskie wyzwanie, ale jak jemu sprostać, gdy nie jest się wzorem cnót, ale przedmiotem powszechnej odrazy. Ojciec pijak, mimo czynionych gestów (wspaniała prezent w postaci roweru) powoli przestaje się liczyć i najlepiej, gdyby po prostu umarł.

Stacja czwarta – syn alkoholik. O matce bohater sobie przypomina wtedy, gdy jego rodzina praktycznie przestaje istnieć. Ale czy matka jest wystarczającym powodem by wyrzec się alkoholu? Stacja ostatnia – stracone życie. Czy świadomość absolutnej degeneracji może być wstrząsem wystarczającym do tego by świat przestać oglądać przez szkło wódczanej butelki. Skala upadku jest jednak tak wielka, że można się już tylko podnieść dzięki pomocnej dłoni. Jednak i dla alkoholików istnieje możliwość odkupienia i szansa na rozpoczęcie nowego życia. Dla tego symbolicznego finału warto jest obejrzeć film. Zdradzę jednak tajemnicę - bohatera nie ratuje ostatecznie sympatyczny anioł stróż.

Andrzej Raczek

^{1/} Reżyseria i scenariusz – Marek Koterski; w rolach głównych: Marek Kondrat, Andrzej Chyra, Michał Koterski; zdjęcia – Edward Kłosiński; muzyka – Jerzy Satanowski; produkcja – Vision Film Production. Film uzyskał Nagrodę za reżyserię i Nagrodę Stowarzyszenia Filmowców Polskich – Gdynia 2006.

Z Biblioteki

Na zebraniu w dniu 1 kwietnia 2008, ukonstytuował się nowy Zarząd Biblioteki. W jego skład weszli:

Zbigniew Okręglak - Prezes Zarządu
 Anna Firsowicz - Vice-prezes
 Mirosław Słoboda – Skarbnik
 Grażyna Żebrowska - Sekretarz

oraz członkowie: Agnieszka Christian, Monika Mieroszevska, Paulina Migalska, Jerzy Kozłowski, Laura Oldanie, Krzysztof Parczewski, Joanna Petry-Mroczkowska,, Dorota Ponikowska. W następnych wydaniach biuletynu napiszemy więcej o ich indywidualnych dokonaniach.

A w Bibliotece wiosenne porządki, wyrzucamy stare książki, katalogujemy nowe. Z Polski przyjechały świeże filmy – mamy wreszcie niecierpliwie wyczekiwany *Katyn* Andrzeja Wajdy, nagrodzone licznymi wyróżnieniami *Sztuczki* Jakimowskiego (autor

kultowego już *Zmruż oczy*), *Korowód* Stuhra (pełen mądrych refleksji o lustracji), dwa wzruszające filmy Doroty Kędzierzawskiej (*Jestem i Pora umierać*), nagranie *Kabaretu Moralnego Niepokoju* z jego oryginalną wersją historii Polski, dla dzieci przepiękny, nagrodzony tegorocznym Oskarem film *Piotruś i Wilk*.

Wiele energii pochłaniają też gorące przygotowania do pierwszej odsłony bibliotecznego kabaretu. Pod egidą Doroty Ponikowskiej powstały *Wenusjanki i Marsjanie*, których premierę obejrzeć można było 12 kwietnia w Ambasadzie. O tym wydarzeniu i dalszych planach kabaretu napiszemy w czerwcowym wydaniu biuletynu. Zainteresowanym przypominamy, że tak jak wszystkie imprezy biblioteczne, kabaret jest dziełem wolontariuszy, a uzyskany z niego dochód został w całości przekazany na potrzeby Biblioteki.

WzB

POLISH LIBRARY IN WASHINGTON

1503 21ST Street N.W.
 Washington, DC 20036

(202) 466-2665

mailbox@polishlibrary.org
<http://www.polishlibrary.org>

HOURS OF OPERATION:

Tuesday	7:00 PM — 9:30 PM
Thursday	12:00 PM — 2:00 PM
Saturday	11:00 AM — 2:00 PM

(Polish School Library hours: Saturday, 2:00 PM — 4:00 PM)